Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI

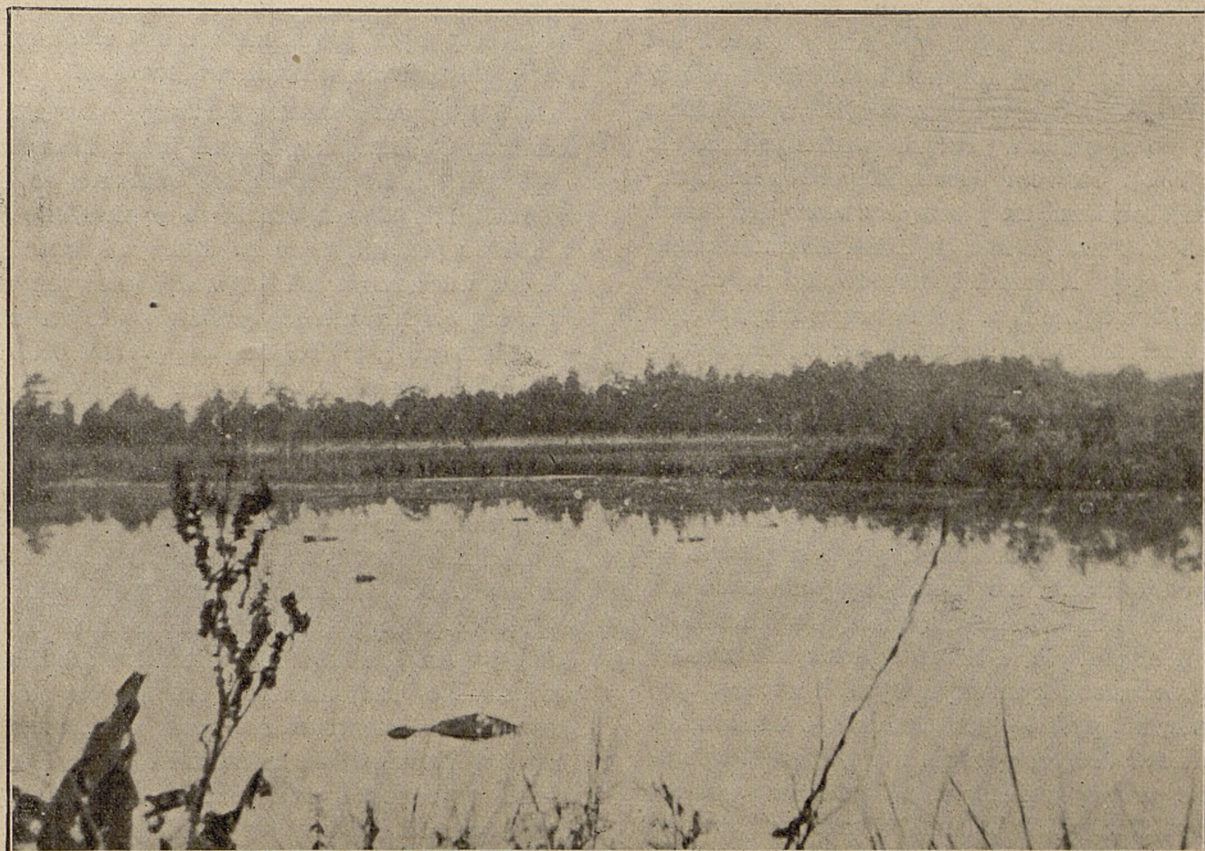


Z dawnego Pilawina J. hr. Potockiego

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 33 (637). 15 SIERPNIA 1931 R.



Po zlotach — zabite kaczki na wodach Polesia. Fot. Marja Podhorska, Grudziądz.

W SPRAWIE TERMINÓW OCHRONNYCH*).

Należy przedewszystkiem z całą wdzięcznością podkreślić, że p. Wojewoda poleski zechciał poddać publicznej dyskusji poglądy swe na kwestje, co do których zapatrywania mogą być różne. Prowadzi to bowiem, z wielkim pożytkiem dla sprawy, do rozstrzygnięcia zagadnień, które już do tego dojrzały, i dalszego wyjaśnienia tych, które z różnych powodów mogą być w dalszym ciągu sporne. Korzystając z upoważnienia p. Wojewody, Redakcja „Ł. P." pozwala sobie na następujące komentarze:

Zarządzenia p. Wojewody poleskiego idą, jak to sam podkreśla, w trzech kierunkach: w kierunku skracania wiosennych terminów polowań, w kierunku ochrony niektórych, zagrożonych wyginięciem, gatunków zwierzyny łownej, w tej liczbie drapieżników, i w kierunku skracania jesiennych terminów polowań. Zarządzenia w każdym z tych trzech kierunków wypływają z odmiennych podstaw i założeń i dlatego uwagi i ewentualna, przyszła dyskusja na łamach „Łowca Polskiego" winny to uwzględniać i odrębnie do każdego z tych zagadnień być odniesione.

Zaczynając od sprawy terminów wiosennych, należy podkleślić, że słuszną jest podniesiona przez p. Wojewodę zasada, że w okresie od połowy maja do połowy lipca, winien panować zupełny spokój w rewirach łowieckich. Chodzi tylko o to, czy istotnie wiosenne polowania spokój ten w rewirach zakłócają. Chodzi mianowicie o płoszące znaczenie strzału. Należy podkreślić, że płoszące znaczenie strzału jest bardzo różne. Zwierzyna nietyle boi się samego strzału, ile płoszenia jej, połączonego ze strzelaniem i prześladowaniem. Natomiast do samego huku, jak i do różnych innych odgłosów, które ją dochodzą (np. łoskot pociągu, słyszany w puszczach z odległości wielu kilometrów), przyzwyczaja się z łatwością i zupełnie na nie reaguje. Jaskrawym przykładem tego jest zachowanie się wobec strzałów zwierzyny na poligonie rembertowskim, opisywane niedawno na łamach „Ł. P.". Za niewątpliwie płoszące i szkodliwe dla spokoju zwierzyny należy uznać jedynie polowanie z naganką i wszelkie polowanie z psami, z wyłączeniem wypadku, gdy rola psa (wyżła) jest ograniczona jedynie do aportu, a pozatem musi się on znajdować przy nodze. Te jednak rodzaje polowań w okresie wiosennym i lęgowym nie wchodzą zupełnie w grę. Za niepokojące zwierzynę należy uznać również wszelkie chodzenie po rewirze (choćby bez psa) w celu szukania i strzelania odnajdywanej zwierzyny. Technika jednak wiosennych polowań z tego rodzaju łażeniem po rewirze i płoszeniem zwierzyny nic wspólnego nie ma. Na wiosennych polowaniach, uprawianych prawidłowo chodzi się minimalnie. Trzeba podjechać lub zajść (i to w przeważnej części po drodze) na tokowisko

*) Patrz artykuł p. Wojewody poleskiego w poprzednim numerze Ł. P. Przyp. Red.

głuszców lub cietrzewi, na miejsce ciągu słonek lub do budki na kaczki. Strzela się bardzo mało (jeśli idzie o głuszce, cietrzewie lub kozły, trochę więcej do słonek i kaczorów) i wyniki polowań pod względem ilościowym są bardzo ograniczone. Padają ofiarą strzałów tylko samce tych gatunków zwierzyny, w których samiec w wychowaniu młodego pokolenia żadnego udziału nie bierze i to szczególnie, jeśli idzie o kaczory, po spełnieniu zadań włożonych na nie przez przyrodę. Słowem wiosenne polowania uprawiane prawidłowo ani za płoszące zwierzynę, ani za wpływające na zmniejszenie się zwierzostanów uznane być nie mogą. Natomiast znajdowanie się myśliwych w rewirze również w porze rozmnoży, dające możność obserwacji i stwierdzenia, co się w rewirze dzieje, nie polegając wyłącznie na raportach straży, należy uznać z wielu względów za bardzo pożyteczne. Na co zresztą wolno polować w okresie między 15 maja a 15 lipca? Na cietrzewie koguty, kaczory, bataljony (na wszystkie do 1 czerwca) i kozły. O kozłach i bataljonach trudno dyskutować, gdyż to jest właśnie pora polowania na nie (bataljony poza okresem, gdy mają gotowe upierzenie, nie budzą wogóle zainteresowania u myśliwych, a zabicie wiosną niewielkiej ich ilości przez nielicznych myśliwych, uprawiających to polowanie, nie posiada poważniejszego znaczenia). Na cietrzewie w drugiej połowie maja mało kto poluje, a zabicie pewnej jeszcze ilości kaczorów w porze, gdy kaczki siedzą już na jajkach, też nie ma wielkiego znaczenia. Słowem, ograniczenie obowiązujących obecnie, ustawowych terminów wiosennych polowań z punktu widzenia hodowlanego nie jest w stanie wywrzeć poważniejszego wpływu i w istocie stosunki w tej dziedzinie nie dają pola do ingerencji pp. wojewodów, i nie wymagają naprawy. Nie można natomiast powiedzieć, by zarządzenia pp. wojewodów w tym zakresie z prawnego punktu widzenia nie nastręczały pewnych zastrzeżeń. Nie ulega wątpliwości, że przepis art. 51 prawa łowieckiego, pozwalający na dalsze rozszerzanie terminów ochronnych, jest przepisem wyjątkowym, który władza winna stosować, gdy poważne okoliczności do tego ją zmuszają. Bez tego korzystanie z tych przepisów sprowadzałoby się do poprawiania na własną rękę ustawy, do czego władze administracyjne nie są powołane. Stąd też wszelkie zarządzenia w tym kierunku nieoparte o powszechnie odczuwaną i rozumianą konieczność, dają pole do niepożądanego pomawiania władz o samowolę i do krytyki.

Wnikając jednak w istotę poruszonej przez p. Wojewodę poleskiego kwestji, byłoby do zastanowienia czy przy nowelizacji ustawy łowieckiej nie byłoby wskazanem skrócić wiosennych terminów polowań na cietrzewie-koguty, kaczory i bataljony do dnia 15 maja. Na ten temat wskazaną byłaby dyskusja. Należy jednak zaznaczyć, że nie można się spodziewać, by praktyczny efekt takiego załatwienia sprawy pod względem hodowlanym był wielki i że osięganie tego efektu w obecnych stosunkach w drodze zarządzeń pp. wojewodów nie może być uznane za właściwe.

Inaczej się sprawa ma z drugą kwestją, poruszoną przez p. Wojewodę, a mianowicie z ochroną zagrożonych w swem istnieniu, zwierząt łownych, w tej liczbie drapieżników. Wszelkie wydawane w tym kierunku zarządzenia są zrozumiałe, nie wywołują też krytyki ani narzekań w świecie łowieckim, częściowo też osiągnęły pożądany skutek (wiewiórki). Ponieważ jednak zarządzenia tego rodzaju należą do wyjątkowych, dla jednolitego traktowania związanych z niemi kwestyj byłoby wskazanem, aby wydawał je Minister Rolnictwa na wniosek wojewodów.

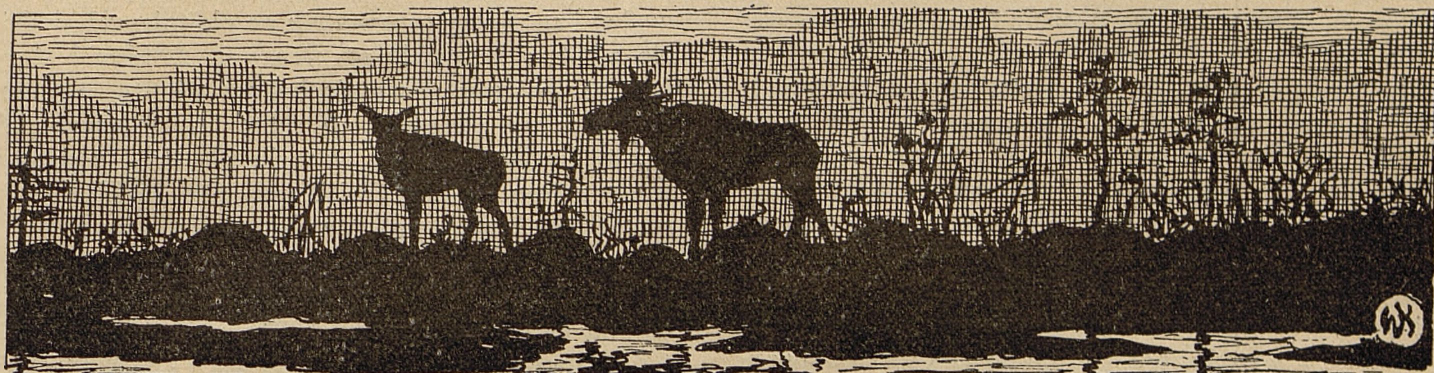
Najgorzej jest z trzecią sprawą — z ograniczeniem terminów jesiennych polowań przez zarządzenie pp. wojewodów. Jak już wyżej wspomniano, po myśli prawa łowieckiego zarządzenia te są uważane jako wyjątkowe i przeznaczone do usunięcia katastrofalnych dla zwierzostanów skutków żywiołowych wydarzeń i pomorów. Okazało się jednak, że to, co miało być wyjątkiem, stało się regułą i że pp. wojewodowie uważają sobie niemal za obowiązek wydawanie corocznie zarządzeń w sprawie terminów ochronnych. Okazało się dalej, że pp. wojewodowie bardzo często w swych zarządzeniach wbrew drugiemu ustępowi art. 51 prawa łowieckiego, nie oznaczają terminu, w ciągu którego wydane przez nich zarządzenie ma obowiązywać (co wywołuje trudną do usunięcia niepewność pod względem prawnym, z jakim momentem zarządzenie takie wygasa), że rozszerzają terminy ochronne w sposób, którego racjonalności trudno się dorozumieć (trudno bowiem zrozumieć celu opóźnienia terminu rozpoczęcia polowania na kaczki o 5 lub 10 dni; przełożenia w jednem z województw, terminu rozpoczęcia polowania na bażanty na 1 listopada i to po roku, w którym było ich wyjątkowo dużo i t. p.), że zarządzenia swe wydają z dnia na dzień wbrew postanowieniu art. 52 prawa łowieckiego, w myśl którego w grudniu winny być ogłoszone terminy obowiązujące w roku następnym i t. p.

W ostatecznym wyniku ujawniła się kompletna dezorjentacja, jakie terminy gdzie obowiązują, i to zarówno u władz i policji jak i pośród myśliwych i nawet... w samej redakcji Ł. P., gdyż trzeba specjalnych dochodzeń i korespondencji, aby dojść (i to nie zawsze z całą pewnością), gdzie jakie terminy obowiązują. Gdy doda się, że prawo rozszerzania terminów ochronnych ograniczono częstokroć do poszczególnych gmin i wsi, aby w ten sposób naprawiać źle na nich prowadzoną gospodarkę łowiecką, to obraz chaosu wytworzonego w ten sposób, stanie się jeszcze jaskrawszym. Natomiast praktyka wykazała, że cały ten system rozszerzania terminów ochronnych, o ile idzie o zwierzynę zwykłą i stale znajdującą się w handlu — a więc: kuropatwy, zające, sarny i kaczki, zupełnie chybia celu. Okazało się, że nawet tak katastrofalna zima jak 1928/29 roku, nie wymagała wydania jakichkolwiek zarządzeń i że zwierzostany w 1929 roku były zupełnie dobre, że zwierzostany zależne są predewszystkiem od dobrej ochrony i racjonalnej gospodarki łowieckiej, tak, że w tej samej gminie, nieraz o miedzę, są rewiry ze znakomitymi zwierzostanami i obok z bardzo wyniszczonymi, że zwierzyna pilnuje miejsc, w których znajduje spokój i odpowiednie warunki, a przeto niemożliwem jest obejmować jednem zarządzeniem rewirów jakkolwiek położonych nawet w jednym powiecie, ale najzupełniej różnorodnych pod względem zwierzostanów. Wreszcie okazało się, że na najważniejszym rynku zbytu w Warszawie zarządzenia pp. wojewodów nie

obowiązują; że można zupełnie legalnie sprzedawać zwierzynę zabitą w innem województwie w terminie zakazanym przez wojewodę, tak, że najważniejsze sankcje takich zarządzeń, usunięcie zwierzyny z handlu odpada; że nie osiągając pożądanych wyników, zarządzenia te obracają się w swych skutkach przeciwko myśliwym uprawiającym racjonalną gospodarkę łowiecką, ograniczając ich zbędnie w możności wyznaczenia polowań i zmuszając do wyrzucenia zabitej zwierzyny na rynek, przez krótki stosunkowo okres czasu, co powoduje nadmierne obniżenie cen i trudności zbytu.

Najgorszą jednak okazała się zupełna dezorjentacja społeczeństwa, i to nietylko myśliwskiego, co do obowiązujących terminów, od której zupełnie już niedaleko do braku poszanowania jakiegokolwiek prawa. Wszystko to razem zmusza do wypowiedzenia się przeciwko systemowi skracania w drodze rozporządzeń, terminów łowieckich, ustanowionych przez ustawę, (abstrahując od wyjątkowych wypadków, o których była mowa wyżej). Takie też stanowisko w tej sprawie zajmuje Zarząd Polskiego Związku Stow. Łow.

WALENTY GARCZYŃSKI.



FRAGMENTY

(Z CYKLU „WIOSNA").

(Zob. Nr. 32).

Zdecydowałem bezapelacyjnie, że spróbować warto. Ruszyliśmy z Kondratem już znaną, wczorajszą drogą. Przejście do miejsca, gdzie należało wyczekiwać pieśni obsadzonego z wieczoru głuszca, było znacznie ułatwione, gdyż opadły śnieg rozpraszał egipskie ciemności leśnych gąszczy, a oczyszczone od chmur, pokryte płomykami gwiazd niebo, i wąski sierp księżyca na nowiu — kładły srebrzystą poświatę na bajkowy strój ośnieżonych drzew.

Przemożne uczucie fizycznej tężyzny i dawnej młodzieńczej werwy, jak na lotnych skrzydłach, niosło ciało lekko i zwinnie przez zarośla i zdradliwie uciekające z pod stopy, kępki na bagienkach. Piersi z rozkoszą wchłaniały w płuca fale świeżego powietrza. Jednak zbyt wielkiej przyjemności nie odczuwałem, gdy z potrąconych gałązek spadała lawina śniegu i bez pudła trafiała w najczulsze miejsce — za kołnierz kożuszka.

Zawczasu doszliśmy do ściętych pieńków, które ubiegłego wieczoru w czasie podsłuchów służyły nam za siedzenia. Kondrat zmiótł z nich śnieg połą swej kapoty i usadowiliśmy się na nich, jak na pierwszorzędnych klubowcach. Do świtu pozostawało sporo czasu. Zamierzałem nie ruszać się z wygodnego pieńka, gdyż według mego obliczenia, miejsce noclegu głuszca znajdowało się od nas nie dalej dwustu kroków. Po półgodzinnem oczekiwaniu Kondrat zaczął niecierpliwieć się i, wyczuwając psim węchem mające nastąpić trudności, uporczywie namawiał, abyśmy podeszli jaknajbliżej do wysepki, na której, w jego mniemaniu, obsiadł głuszec. Konieczność tego ryzyka motywował tem, że głuszec jeszcze śpi, więc możliwość spłoszenia go jest wykluczona, oraz, że z miejsca, gdzie się obecnie znajdujemy, nie można będzie posłyszeć gry, gdyż prędko śnieg zacznie topnieć i kapać z gałęzi. „Baczete, ja pid postołamy czuju widłyhu, a snih neruszanyj osiadaje z każdoju mynutoju" (Widzi pan, ja pod łapciami wyczuwam odwilż, a nieporuszony śnieg z każdą chwilą osiada) — zapewniał gorąco. Uległem namowom i z zachowaniem największej ostrożności zaczęliśmy skradać się w obranym przez Kondrata kierunku, co parę kroków zatrzymując się i nasłuchując. Uszliśmy kilkadziesiąt kroków, gdy pierwsze krople topniejącego śniegu — dowody słuszności Kondrata — zaczęły spadać. Wpierw pojedyncze to tu, to tam, zamieniły się następnie w ogólne, chaotyczne klapania. Jeszcze trochę podeszliśmy. Widząc wahanie Kondrata, postanowiłem stać i czekać. Staliśmy dość długo, oparci o pień starej sosny. Niebo pobielało — świt się zbliżał prawie że w oczach. „Niczoho z toho ne bude" (nic z tego nie będzie) — wyszeptał Kondrat. „Trudno, musimy czekać" — odparłem. Od pewnego czasu w jednostajnym i monotonnym stukocie spadających kropel zacząłem odróżniać odrębne dźwięki, dochodzące z jednego określonego kierunku. Niby podobne do wszystkich innych ,a jednak bez wątpienia inne... Takie jakieś denerwujące i dobrze znane. Zamieniłem się cały w naprężony do ostatnich granic, organ słuchu i... w rozgardjaszu odgłosów dosłyszałem upragnione szlifowanie. „Jazda Kondrat! gra!" Posłuchał Kondrat, posłuchał... „nie, ce kapaje" (nie, to kapie) — oświadczył. „Kapie, nie kapie, a marsz za

mną!". Niema złego, coby nie wyszło na dobre! Szmery ciągłe, spowodowane odwilżą, głuszyły nasze kroki, które dość często przedłużały się o parę sekund po za czas dopuszczalny w zwykłych warunkach. Głuszec grał z pauzami, niedaleko od nas. Parłem wprost na głos. W czasie przerwy posłyszeliśmy, jak zerwał się niewiadomo z jakich powodów, w każdym razie zauważyć nas nie mógł. O dziwo! minął nas z prawej strony i niezwłocznie z łomotem usiadł na drzewo, skracając dystans między sobą a nami conajmniej o połowę. Prawie że natychmiast zaczął klapać. „Peremistywsia" (zmienił miejsce) szepnął Kondrat. A więc niespłoszony! Wogóle był to jakiś niesamowity głuszec i pieśń jego była niezwykła: jakby dłuższa, kończąca się po za szlifowaniem jeszcze przeciągłym, trwającym parę sekund sykiem. Zmieniłem kierunek i waliłem co było mocy, gdyż las horendalnie szybko rozjaśniał się. Nie obeszło się bez przygody: wpadłem po pas do wody, z której wydostałem się przy pomocy Kondrata, który odebrał odemnie dubeltówkę, a następnie wyciągnął mnie z przymusowej kąpieli za rękę. Stanowczo głuszec nie chciał zwracać uwagi na żadne podejrzane dźwięki i był zajęty tylko sobą i swoim artyzmem. Po wydostaniu się z wody, pragnąc dojść do celu jaknajprędzej, zapomniałem, że dubeltówkę zostawiłem w rękach Kondrata i wyprzedziłem go o kilkanaście kroków. Z ostatnim krokiem, który trafił w jakąś dziurę, przywarłem do pnia grubej olchy i... o rety! Nawpół leżąc, a nawpół stojąc, zobaczyłem o dziesięć — piętnaście kroków przed sobą ogromną brzozę, a na niej głuszca, jak na dłoni i połapałem się, że nie mam flinty. Widok był wspaniały. Wierzchołek brzozy był ścięty, prawdopodobnie siłą wichru, lub uderzeniem pioruna; nie więcej jak w odległości jednego metra od miejsca złamania, odchodziła od pnia potężna gałąź; na niej głuszec wyprawiał dziwaczne harce: pauzami między jedną pieśnią a drugą była długość gałęzi; gdy kończył pieśń obok pnia, natychmiast wyciągał szyję jak rozzłoszczony gęsior, z rozpuszczonemi skrzydłami i zlekka podniesionym, napuszonym ogonem gnał na sam koniec gałęzi i tam rozpoczynał nową pieśń, aby dla następnej wracać tym samym szlakiem do pnia. Przypadł do mnie Kondrat; z niesłychanym mozołem podał mi koniec luf i centymetr za centymetrem posuwał zabezpieczoną dubeltówkę, aż do chwili, gdy moja prawa dłoń mocno zacisnęła się na szyjce kolby. Wyprostować się, podchwycić lewą ręką broń, odbezpieczyć ją i strzelić — zdążyłem w ciągu ostatniej pieśni głuszca. Głuchy stuk uderzenia o pokrytą śniegiem ziemię zwiastował zgon leśnego barda.

Dużo pięknych emocyj, związanych z wiosennemi polowaniami zawdzięczam serdecznej gościnności pana Michała. Ciągi słonek, z nieodzownym spacerem po kładkach, toki cietrzewi, symboliczne spożywania wątróbek i żołądków zabitych głuszców, które to danie tradycyjnie przyrządza stary Semen, spijanie „berezowoho sika" (brzozowego soku), w niezmiernych ilościach połykanego, bez szkody dla zdrowia, przez pana K., któremu po zabiciu rysia tenże stary Semen dobrodusznie mówił: „nu, teper wam pora umeraty" (no, teraz panu już czas umierać) i szereg innych, nie wyłączając zaszczytu fotografowania swego rozkładu razem z rezolutną, leśną sylfidą—mieszkanką „Zuzanki".

Niechże Ci, miły Misiu, grają tysiące głuszców, a Pan Wszechświata przedłuży życie i da możność spotykania największej ilości wiosen.

*

* *

„Dusza ludzka jest olbrzymią, czułą płytą, na której każda nadchodząca wiosna nagrywa swe najpiękniejsze pieśni; mózg zaś jest najbardziej skomplikowanym instrumentem, który odtwarza je bez błędu po dziesiątkach lat ubiegłych".

Nietylko z umiejętności tresowania i układania psów, bez względu na ich rasę; nietylko jako niezawodny i sumienny przewodnik po obfitujących w dzikie ptactwo terenach porzecza rz. K. słynął stary Byndas. Już sam przez się był wyjątkową, nieprzeciętnej miary jednostką, a „Byndasowe czortynia" (djablątka Byndasa) — wnuczka Kryśka i ogromny, szary brytan — białoszyi Nepys ponadto dodawały splendoru sławie i potęgowały rozgłos starego.

Wkrótce po zgnębieniu przez moskali powstania 63 r. do wsi B. położonej nad rzeczką K. — naturalną granicą między Podolem a Chersońszczyzną, zawitał jakiś obcy dziad. Chodził po wsi — rozglądał się. Jednemu gospodarzowi wyleczył krowę, drugiemu kastrował źrebaka, trzeciemu dobrze poradził na chorobę żony; znał sią na wszystkiem, ot jak zwykle ten, co to i kawał świata zwiedził i nie z jednego pieca chleb jadał. Widocznem było, że dziad miał w kalecie jaki taki zapasik, gdyż parę razy więcej wpływowym chłopom w chwilowej potrzebie groszem dogodził, a i w karczmie umiał w porę postawić poczęstunek do rzeczy — niczem najprzedniejszy z wiejskich „tuzów". Na pytania niechętnie odpowiadał i ludziska musieli się zadowolić wiadomością, że przyszedł z bardzo dalekich stron i że opuścił nazawsze strony rodzinne „za pokutę". Ciekawi próbowali pociągnąć przybysza za język, starając się spoić go w karczmie, lecz dziad raz i drugi tak się zawinął, że najtęższi opoje kładli się sromotnie pod karczemny stół, a „did" z honorem opuszczał pobojowisko, na pożegnanie demonstracyjnie wypijając w pojedynkę, ostatnią szklankę siwuchy, a że w dodatku był nie byle jakim osiłkiem, co niby od niechcenia często udowadniał, więc prędko dali mu spokój. Jak wykuty z bryły kamienia małpolud, ogromny, zlekka przygarbiony, z rękami sięgającemi poza kolana, cały porośnięty siwemi kudłami, w rozchełstanej na potężnych piersiach, zgrzebnej koszuli i parcianych spodniach, z obnażoną głową i bosemi stopami, z uporczywem spojrzeniem wyblakłych oczu, koloru wody zabarwionej w szklance kroplą mleka,—wyglądem swym wzbudzałby odrazę i strach, gdyby nie osobliwy urok cichego głosu, nie promieniowanie dobroci i serdeczności w obcowaniu, nie powłoka tragizmu jakichś męczeńskich wspomnień wielkich nieszczęść wraz z bezgraniczną pokorą przez zrządzenie losu. „Wola Boża" mawiał w chwilach ciężkich przejść, czy to cudzych, czy własnych,— i w dwa te słowa z dziecięcą prostotą wkładał całą moc niezłomnej wiary w to, że wszystko się dzieje z dopustu i nakazu Wszechmogącego. Przypadł do gustu Berizkowcom, zadomowił się, wkupił się do

„obczestwa" (wiejskiej gminy), dostał położoną na krańcu wsi nad brzegiem rzeczki K. nawpół zawaloną chatynę ze sporym kawałkiem gruntu—i osiadł na stałe. Do znanego już wszystkim „did Josyp" dodał nazwisko „Byndas" i stał się legalizowanym obywatelem wsi. Jak sobie poradził z nielicznymi na tem odludziu przedstawicielami władzy, to już było jego wyłączną tajemnicą, jednak „naczalstwo" żadnych wstrętów mu nie robiło.

Po roku nikt by nie poznał nędznej sadyby Byndasa. Nowa chata, pełna wszelkiego rodzaju potrzebnych w gospodarstwie „statków", komora obficie zaopatrzona w żywność, w oborze — krowa, jak malowanie i to nie z tych, pożal się Boże, „sirych mużyckich" co to ani wymienia, ani w wymieniu, a prawdziwa „niemka"; w chlewie — ładna maciorka z prosiętami, w „sażu" — niezgorszy wieprzak — karmnik, w podwórzu — trójka ślicznych cygajek (gatunek owcy) z jagniętami, nie brak przedstawicieli rodu ptasiego w osobach pstrokatych czubatek, białych kaczuszek, szarych gąsek i kłótliwych, wiecznie wrzeszczących pantarek (perliczek), w ogrodzie — pod każdym ze czterech starych, obecnie podciętych i doprowadzonych do porządku, rozłożystych drzew jabłoni — kłoda (ul) pszczół, przykryta żółtozłotym kapturem, misternie splecionym ze źdźbeł żytniej słomy.

Szeroka grządka wokoło chaty barwi się i pieści oko kobiercem kwiatów: u dołu harde, zadzierzyste „czarnobrywce", skromna rezeda i figlarne stokrotki, wyżej — różnokolorowe malwy, pnąc się aż pod strzechę, pretensjonalnie przyglądają się cieniom swych kielichów, tapetującym białą płaszczyznę ścian; gdzieniegdzie potężne, ciemnozielone, pokryte srebrnym puchem łodygi słoneczników kąpią w promieniach słonecznych swe dumne głowy, tak podobne do tarczy życiodajnego planety, ku któremu zawsze zwracają swe oblicze jaśniejące świetlanym uśmiechem radości życia. Wszystko to odbija się fantastycznym wzorem w sinej wstędze przepływającej obok rzeczułki. Cała zagroda, okopana z trzech stron szerokim rowem, obsadzonym drzewkami, tchnie schludnością i dobrobytem i jakby oczekuje na kogoś nieobecnego, a bardzo drogiego. U progu chaty, na ściętym pieńku zeschłej gruszki siedzi Byndas i, wyplatając z „okołotu" (słoma z młócki cepami) szeroki „bryl" (kapelusz), wykłada psiakowi Szarmasowi początki mądrości myśliwskiej, a po całem „obejściu" niezmordowanie krząta się przygarnięta przez Byndasa, bezdomna Kyłynka i, jak mak płatkami, miga czerwienią swej spódnicy. Ktoby tam teraz poznał w niej z przed kilku miesięcy nędzną łachmaniarkę — ogólne pośmiewisko całej wsi. Ale bo też „did Josyp", chociaż niewiadomo co zacz, chociaż „smerdyt ni to lachom, ni to łytwynom" (trąci czy to lachem, czy litwinem), jest prawdziwym czarodziejem i za co by się nie wziął, czego by nie dotknął — wynik będzie jaknajlepszy.

Z początkiem drugiej jesieni pobytu na nowych śmieciach, zaczął Byndas okazywać niezrozumiałe dla Kyłynki zdenerwowanie i przedwczesny pośpiech w przyspasabianiu się do spotkania nadchodzącej zimy. Pozdejmował ze strzechy wygrzewające się na słonecznej stronie, nalane bursztynem „kabaki" (tykwy jadalne), zawczasu zabezpieczył ule, przygotował dostateczną ilość opału, przeważnie „kyrpyczu" (wysuszony, bydlęcy nawóz, pocięty na płaskie, kwadratowe kawałki — prawie że stuprocentowy materjał opałowy ludności południowych stepów), opatrzył nazewnątrz jak się należy, chałupę i skrzętnie pochował wszystko, co potrzeba uchronić od mrozów. Gdy zaś pierwsze przymrozki podcięły główki spóźnionych, smutnie rozczochranych astrów i zasnuły jesienne rozlewy leciuchną pajęczynką szklistego igliwia, nakazał Byndas Kyłynce pilnować chaty i dobytku, jak długo nie powróci, wziął do ręki tęgi kij, przewiesił przez plecy tobółek i o późnym zmierzchu znikł ze wsi jak kamfora. Na wszystkie pytania Kyłynka niezmiennie odpowiadała: „piszow w hostynu na bat'kiwszczynu" (poszedł odwiedzić strony ojczyste) i razem z Szarmasem z psiem oddaniem pilnowała Byndasowego mienia.



Mój jamnik. Fot. A. Dernałowicz.

Przeszła zima, spłynęły wiosenne roztopy, opadła powódź. Pełną piersią oddychała ziemia karmicielka, okutana bladoniebieskimi obłoczkami pary — wydechami resztek skruszonych więzów zimy. Znikły śnieżnobiałe plamki pierwiosnków, pociemniała ruń ozimin, omal że niewidocznie dla oka falanga rurkowatych dzid — jasnozielona szczotka pędów oczeretu — przebijała spokojną, zda się szklaną, wodną powierzchnię i zwycięsko pchała się wzwyż ku niebu i słońcu. Gdzieniegdzie, z pod kępki zeschłej trawy wyzierało modre oczko fiołka. Przepojone zapachem młodości życia powietrze, drgało od nieustannego, buntowniczego ryku bydła rwącego się by opuścić obmierzłe leże zimowe. Jeszcze dzionek... drugi — a wiosenne roboty w polu ruszą całą parą.

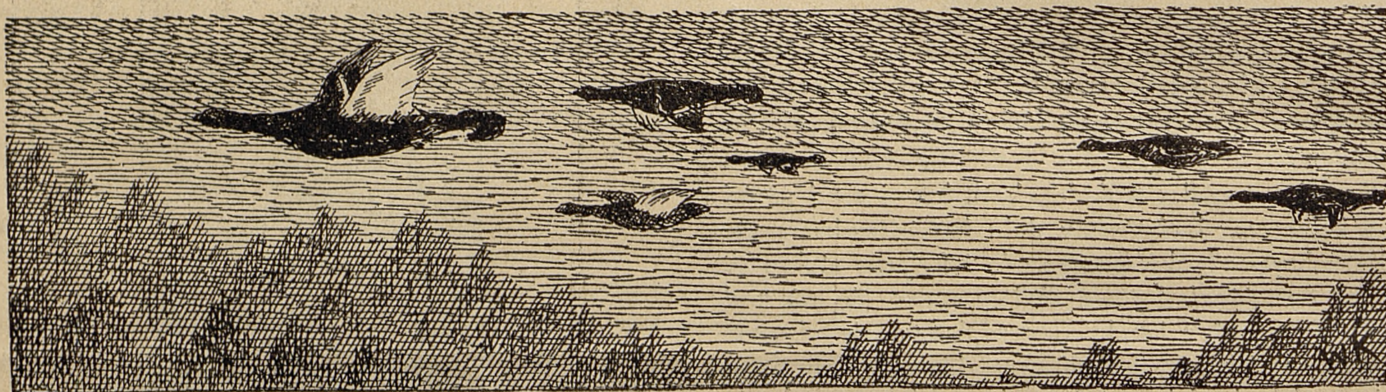
Zapadała noc. Uliczki wsi opustoszały. W niektórych tylko chatach małe okienka chybotały migotliwem światłem.

Spóźniony gość, kryjąc się w cieniu płotów, podążał do plebanji popa Kociubińskiego. Wpuszczony przez popa, mocno zdziwionego widokiem przybysza, tajemniczy intruz długo coś przekładał, prosił o coś, błagał... wreszcie omal że nie gwałtem wepchnął księdzu do rąk plik papierów wraz z rozepcha-

ną, sporą kieską i ulotnił się przez nikogo niedostrzeżony. Zrana gruchnęła po wsi wiadomość, że Byndas powrócił z dwojgiem kilkoletnich dzieciaków. Rzeczywiście na podwórku „did Josyp" jak zwykle coś tam majstrował siekierą, a w chacie Kyłynka czule pytlowała językiem nad dwojgiem przytulonych do siebie dzieci: kilkoletnim, jasnowłosym chłopakiem i małą czarnulką odznaczoną okropną, jakby od potwornego uderzenia kopytem końskiem, blizną przez całą główkę. Na plebanji ksiądz Kociubiński w otoczeniu starosty (sołtysa) i kilku solidniejszych gospodarzy z namaszczeniem mówił o chrześcijańskiej cnocie Byndasa, który nietylko że wziął do siebie sierotę bratanka, lecz zaopiekował się także znajdą niemową, którą spotkał w powrotnej drodze do domu. A że „batiuszka" (ksiądz) był najważniejszym i jedynym przedstawicielem „właści" (władzy) we wsi, że był prawdziwie dobrym pasterzem i miał mir u swojej trzódki, że wreszcie Byndas już na Kyłynce stwierdził przykładem swe skłonności do altruizmu... pogadali chłopi, pokiwali brodami, poszeptały niewiasty: „może i laski dity, ta wseż syroty" (może dzieci i lachów, a jednak sieroty) i... życie wsi poszło zwykłym trybem. Tylko Byndas coraz rzadziej odwiedzał karczmę, coraz częściej z psem i działtachami wyruszał „na ochotę" i zaszywał się w gąszcze oczeretów, gdzie poza obserwacją ludzkiej gawiedzi, mógł swobodnie obcować z dziećmi i okazywać rzekomej znajdzie nadzwyczajne, graniczęce z ubóstwianiem uczucie.

Upłynęło przeszło dwadzieścia lat. W międzyczasie cholera nawiedziła tamte strony, wymiotła pół wsi, nie oszczędziła osoby ojca Kociubińskiego i w strasznem swem pokłosiu, pozostawiła Byndasowi: trzy mogiłki — Kyłynki i jego przybranych dzieci, — oraz małego, rocznego skrzata płci żeńskiej, potomka tamtych dwojga nieszczęśników, skojarzonych w małżeństwo czy to żelaznem prawem konieczności, czy to wolą Byndasa.

(C. d. n.). GEN. ST. SKRZYŃSKI.



METAMORFOZA.

Każdy niemal człowiek rodzi się z zamiłowaniem do myślistwa, tylko że ta „żyłka" występuje u jednych w większym stopniu, nie rzadko od najmłodszego wieku, u innych „dojrzewa" z czasem dopiero. Spotykamy, naprzykład, mieszkańców miast, którzy, mając mało sposobności stykania się z fauną w przyrodzie, nieraz w późniejszym nawet wieku stają się gorącymi wyznawcami Św. Huberta, znalazłszy się raz przygodnie na jakiemś polowaniu.

Żałują też nieraz lat „gnuśnie" strawionych i emocyj, i bicia serca własnego — na nieoczekiwany widok ukazującego się w kniei zwierza. Wszystko — atawizm — odziedziczony po pra-przodkach naszych, uprawiających myślistwo w celu zdobycia pożywienia i odzieży.

Nasunie się może komuś refleksja, że przodkowie tych wszystkich, u których atawizm powyższy nie wystąpił nawet i w poprzednich generacjach, musieli się snadź żywić... manną, jak to, ponoć, miało miejsce u „wybranego" narodu?

Nie o dociekania dziedziczności mi idzie, lecz o kardynalne zmiany w psychice myśliwego, który stał się hodowcą danego gatunku zwerzyny, z nią się zapoznał, zrozumiał, zżył i zaprzyjaźnił. Stracił wtedy przy spotkaniu się na stanowisku w kniei wszelkie emocje i patrzy tylko okiem hodowcy, a epilog takiego spotkania — strzał celny, miast tryumfu, zadowolenia, budzi cichy żal przeciętego żywota.

To są osobiste moje refleksje i być może, niejeden z Sz. Czytelników różne na ten temat wydawać będzie sądy.

A teraz przeżycia własne:

Któż z myśliwych nie zna naszego lisa, o którego przebiegłości już w dzieciństwie czytano nam bajki?

Ile zadowolenia sprawia zawsze ustrzelenie tego drapieżnika naszych pól i lasów z pod gonu ogarów, lub wypartego z nory przez cięte jamniki, z podjazdu o zmroku, lub z pod naganki wreszcie?! Do takich myśliwych sam przez długi szereg lat należałem, mając rocznie nieraz do 20 sztuk na rozkładzie.

Nigdy, mimo to, lis mi się nie „opatrzył" i z całą pasją nań polowałem.

Przed rokiem zaprowadziłem u siebie hodowlę kanadyjskich lisów srebrzystych z Ameryki, gdyż tylko takie przedstawiają największą wartość, a zakładając ogrodzenia i licząc na powiększenie się stanu posiadanych zwierząt, zabudowałem znacznie więcej niż istotnie narazie było potrzeba.

Nastręczyło się potem pytanie, czy nadetatowe klatki pustką świecić będą, nim zapełnią się młodą generacją.

Decyzja krótka: w drugiej połowie maja wyprawa z jamnikiem do lasu, i klatki zostały obsadzone.

Naturalnie, zaczęła się obserwacja, oswajanie, przemowy, poczęstunki.

Nie mówię już o lisach srebrzystych, bo te, jako urodzone w niewoli i do klatek przywykłe od kilkudziesięciu lat, czują się zupełnie dobrze, doskonale znają najbliższe swoje otoczenie i upominają się o smakołyki w postaci suszonych owoców lub rodzynków. Obdarzone wolnością nie potrafiłyby napewno dać sobie rady. Znam taki wypadek, że pewnemu hodowcy wydostała się ze źle urządzonego ogrodzenia para lisów i poszła do lasu. Skorzystali z tego kłusownicy, — samca zastrzelili, a samica tegoż dnia wróciła do swej klatki.

Oswojenie więc i że tak powiem, udomowienie naszego krajowego lisa, zwłaszcza chowanego w klatce, napotyka na trudności, lecz powoli, do pewnego stopnia oswaja się i widok hodowcy nie wywołuje w nim lęku.

Należy przypuszczać, że już druga generacja wychowana w niewoli, czułaby się dobrze.

W rzeczywistości taka hodowla lisów krajowych nie miałaby praktycznego zastosowania, gdy tymczasem kanadyjski lis srebrzysty, posiadając cenne futro o wartości nieraz paruset dolarów, przedstawia wysoką wartość hodowlaną. Nie chcąc rozwodzić się szerzej, zaznaczę tylko, iż zżyłem się ze swymi lisami i polubiłem je, a każde odwiedziny moje bez łakoci w kieszeni spotykane są przez moich wychowanków z pewnem rozczarowaniem.

Zdarzyło się, że w końcu lata byłem na polowaniu na kozły. Wyszły na mnie w czterech miotach (tylko na mnie!) lisy. I — o dziwo! Żadnej emocji — nic. Obserwowałem, jak się przekradał przez linję. Machinalnie cmoknąłem kilka razy, jak to zwykłem robić do swoich. Lis przystanął, obejrzał się i skoro mnie zobaczył, machnął kitą na pożegnanie. To samo wrażenie odniosłem przy polowaniu z jamnikami: lis (była to samica), przyparty przez jamniki, wyskoczył z nory i skoro mnie spostrzegł, momentalnie cofnął się z powrotem.



Na przelotach. Fot. Wł. Korsak.

Pokazał się drugim wylotem i znów skrył się pod ziemię. Za trzecim razem nabój nie wypalił. A emocji, tak jak to dawniej bywało — żadnej. W obecnym sezonie lutowym wypożyczyłem jamnika jednemu z panów-myśliwych, bo... żal mi ścigać w okresie godowym krewniaka moich wychowanków, być może, dlatego, że wrażeń nie doznaję. Podobno... lis dla rolnictwa też bardzo pożyteczny... Z hodowlą więc lisów — ostrożnie pp. myśliwi!

Z. POPKOWSKI.

Kaczorowy.



POLOWANIE Z WYŻŁEM NA KACZKI.

Opisując powyższe polowanie, mam na myśli młodego wyżła w I polu, należycie już ułożonego i wytresowanego. Zanim udamy się z nim pierwszy raz na kaczki, przekonajmy się najpierw, czy też będzie on te ptaki aportował, a celem próby, dajmy mu zabitą kaczkę domową do aportowania. Gdyby narazie przynieść jej nie zechciał, wtedy należy go do tego zmusić. Następnie wzięta do pomocy druga osoba, wiąże pierwszej lepszej, domowej kaczce skrzydła, wynosi ją w pole do jakiego wodą zalanego rowu porośniętego po brzegach niezbyt wysoką trawą i tam ją puszcza. Gdy powyższe spełniono, udajemy się tam z psem i rozkazujemy mu szukać, krocząc pod wiatr. Gdy pies do kaczki ściągać pocznie, pobudzamy go słowami „dobrze piesku!", a gdy kaczkę dostrzeżemy, zabijamy ją strzałem i rozkazujemy psu wynieść ją z wody, chwaląc go za prawidłowe spełnienie naszego rozkazu. Gdyby nie zechciał jej narazie przyaportować, wtedy natychmiast zmusić go do tego trzeba.

Po tego rodzaju próbie, idziemy z młodym psem na poszukiwanie rzeczywistych, dzikich kaczek,

zdjąwszy mu przedtem obrożę, ażeby nie zaczepiał nią o krzaki i inne wodne rośliny. Wybierajmy w samych początkach nawodnione rowy lub mniejsze strumienie obrośnięte trawą, krzewami, trzciną i t. p., w których młode kaczki chętnie przebywają i czyńmy tam poszukiwania pod wiatr. W początkach należy się starać, ażeby strzelać możliwie jaknajcelniej, by wyrobić w psie i do tego rodzaju pracy jaknajwięcej pasji i zainteresowania. Chwalimy go też za każdym razem, gdy dobrze sprawować się będzie, a jeśli mamy z sobą cośkolwiek do jedzenia, to go wynagradzajmy jakim smacznym kąskiem.

Gdy wreszcie pies dobrze już pojmie, o co tu chodzi, udajemy się z nim na większe, torfowe doły, stawy i bagniska pozarastane różnemi roślinami i wodorostami. Podczas przeszukiwania takich miejsc, zwracajmy się, krocząc po brzegach, półfrontem ku szukającemu psu, ażeby przypadkiem nie zechciał on bezcelowo błądzić, opuszczać niektóre nieprzeszukane jeszcze miejsca, lub wreszcie na brzeg wychodzić. Gdy i tutaj sprawuje się pies dobrze i należytej wprawy w robocie tej już nabrał, wtedy dopiero siadamy na większych stawach do łódki, przejeżdżamy pomiędzy trzcinami, to tu to tam, i rozkazujemy psu szukać przed sobą. Naturalnie jest tu już potrzebna druga osoba, która łodzią kieruje. W takich miejscach musi już pies częściej pracowicie pływać, co go oczywiście do pewnego stopnia więcej męczy. Przemawiamy doń wtedy przyjaźnie, pobudzając go do gorliwej pracy, a w razie potrzeby, bierzmy go do łódki, dla chwilowego odpoczynku. Gdy wreszcie pies na kaczki natrafi, pobudzamy go do szukania, rozkazem „szukaj piesku!", gdy zaś się poderwą, strzelamy, a po ubiciu ptaka, rozkazujemy psu aportować. Gdy zastrzelimy kaczkę, której pies nie widział, wtedy podjeżdżamy do niej łodzią i przywołujemy psa, ażeby mógł nacieszyć się jej przyaportowaniem, w trakcie czego zaraz nawracamy łodzią z powrotem do tego samego miejsca, z którego strzelaliśmy i tam dopiero odbieramy psu kaczkę, chwaląc go i głaszcząc.

Tego rodzaju polowanie dokonywane na większych, wodnych przestrzeniach z jednym tylko psem, jest nieco nudne, jeden bowiem pies nie jest oczywiście w stanie należycie i szybko dany teren obrobić, oraz wszystkie, znajdujące się tam kaczki powyganiać, a dlatego, o ile jest to możliwe, należy w podobnym wypadku użyć do tego kilka naraz psów, gdyż mogą one wtedy dokładniej cały teren przeszukać i większą ilość kaczek wypchnąć nam na strzał. Dla młodego psa jest to nawet bardzo pożądane, gdyż nabiera w towarzystwie psa starszego więcej wprawy i pasji do tego rodzaju pracy. Podczas podobnego polowania strzelamy prócz do kaczek i do innego również podrywającego się wodnego ptactwa jak wodnych kurek, łysek, nurów, bąków i t. d., a choć są to ptaki niejadalne, to jednak czyńmy powyższe, dla większej wprawy naszego młodego wyżła.

Na jedno jednak zwrócić tu muszę uwagę. Otóż może się niekiedy zdarzyć, że pies po dłuższem i bezowocnem uganianiu się na wodzie za kaczkami, wyjdzie wreszcie z wody na brzeg i nie zechce dłużej już szukać, mimo wszelkiej z naszej strony zachęty. Gdy coś podobnego zauważymy, wtedy zaprzestańmy go zmuszać do dalszego szukania. Ponieważ zdarza się często, że niepokojone przez czas dłuższy kaczki, zwłaszcza nielotne jeszcze klapaki, nadobre staw opuszczają i na piechotę wynoszą się chyłkiem w sąsiednie rowy, polne przegony i bruzdy, by ujść przed prześladującym je psem. W takich wypadkach rozpoczynamy natychmiast dalsze poszukiwania, po przylegających do wody gruntach, a pies z łatwością natrafi na świeże ślady wyciekłych kaczek, przyczem pobudzamy go rozkazem „szukaj!". Pies, przeszukując przylegający do stawu teren, wkrótce na owe klapaki natrafi, jednego po drugim wyłapie i przyaportuje. Po odebraniu psu pierwszego klapaka, idziemy natychmiast za drugim i t. d., przyczem należy się śpieszyć, ażeby wyciekające sztuki, zbyt daleko wywędrować nie zdążyły.

Polując w ten sposób, przyniósł mi pewnego razu mój wyżeł w ciągu niespełna pół godziny aż 10 żywych klapaków, które przez towarzyszącego mi chłopca odesłałem do domu. Trzymałem je następnie przez czas pewien na podwórkowym, ogrodzonym stawku,



Fot. W. Ocetkiewicz.

gdzie do pewnego stopnia nawet się oswoiły, zajadając łapczywie wraz z domowemi kaczkami zadawaną im karmę w postaci kartofli z ospą, ziarna i t. d. Niedługo jednak cieszyłem się tą miłą mi gromadką, gdy bowiem wypierzyły się należycie, zaczęły nadobre podfruwywać, lecz powracały na staw znowu. Jednak te ich wycieczki urządzane na sąsiednią łąkę i rowy, trwały coraz to dłużej i stopniowo ulotniły się po kolei wszystkie. Ostatnia z nich, nieco słabowita, trzymała się najdłużej, lecz któregoś dnia również nie powróciła. Wylęgnięte pod domową kurą, również tak samo postępują.

Poprzednio wypowiedziane, a dotyczące działalności psa podczas polowań na kaczki, odnosi się jedynie do mniejszych wypraw na to ptactwo, uskutecznianych po torfowych dołach, strugach, stawach polnych, słowem mniejszych terenach, w czasie czego

przywyka nasz wyżeł do brodzenia w wodzie i błocie, wynajdywania tam wszelakiego wodnego ptactwa i wypłaszania go na kroczącego po brzegu, lub jadącego łodzią myśliwego.

Podczas większych polowań na to ptactwo, dokonywanych na rozległych przestrzeniach wodnych, działalność naszego wyżła jest bardziej ograniczona, aniżeli podczas polowań mniejszych, opisanych wyżej. Wielkie polowania na kaczki odbywają się na znacznie obszerniejszych przestrzeniach wodnych, dochodzących od 15 do 300 hektarów, a niekiedy i większych. Znakomite bywają polowania w miejscowościach, gdzie znajdują się większe, rybne gospodarstwa, gdzie powierzchnie stawów dochodzą niekiedy do bardzo wielkich rozmiarów. Podobne stawy bywają w ciągu 4 lat z rzędu nawadniane i zarybiane. Po dwóch latach uskutecznia się tam pierwszy połów ryb, przyczem woda z takich stawów bywa spuszczana i większe ryby wyłapywane na sprzedaż, poczem nawadnia się staw ten na nowo na przeciąg następnych 2 lat i poraz drugi wyłapuje się wszystkie ryby a następnie, po należytem osuszeniu terenu, bywa tenże zaorywany, uprawiony i przez pewien okres czasu, jako rola, obsiewany.

W pierwszym roku nawodnienia takich stawów, niema wogóle co wspominać o polowaniu tamże na kaczki, ponieważ trzcina, sitowie oraz inne rośliny, nie wyrosły tam jeszzce do należytej wysokości i nie dają narazie wodnemu ptactwu potrzebnej mu ochrony, w czasie odbywanego lęgu. W następnych natomiast latach nawadniania t. j. w 3 i 4 roku, wyrastają tam wszelkie wodne rośliny do niebywałej wysokości i tworzą trudny do przebycia gąszcz, nawet dla psa, który poprostu pracować w nim ledwo może. Ogromna też ilość wszelakiego wodnego ptactwa zwykle tam się trzyma i lęże. Również większe i naturalne, wodne przestrzenie, a mianowicie jeziora, których brzegi szerzej lub węziej bywają pozarastane trzciną, sitowiem i t. d., a których w pewnych okolicach naszego kraju sporo się spotyka, dają nam znakomitą sposobność do większych polowań na różnego rodzaju wodne ptactwo, a zwłaszcza na kaczki, ponieważ zlatują się one, po odbytych lęgach, całemi masami na takie większe, wodne przestrzenie ze wszelkich, mniejszych wód, torfowisk i bagien, ażeby w nadbrzeżnych, trzcinowych gąszczach przebyć nad brzegami jezior okres pierzenia się.

W takich miejscach polujemy zazwyczaj na kaczki po dokonaniu specjalnych, wstępnych przygotowań polegających na wykoszeniu w nadbrzeżnych trzcinach i zielsku, prostopadłych do brzegów jeziora, duktów sięgających aż do czystej, niezarośniętej wody. Dukty te posiadają zazwyczaj 2 metry szerokości, trzcina zaś powinna być skoszona mniejwięcej na 15 do 20 cm. pod powierzchnią wody, możliwie czysto zebrana i uprzątnieta. Gdy tylko kaczki do tego rodzaju inowacji nadobre przywykną i z pełnem zaufaniem po duktach tych swobodnie przepływać poczną, wtedy spuszczamy na owe dukty łodzie, z których w każdej sadowią się dwaj myśliwi. Jeden z nich ostrzeliwuje połowę duktu w stronę brzegu, drugi zaś — w stronę otwartego jeziora. Gdy dukty te są zbyt krótkie, wtedy na każdy dukt wystarczy po jednym myśliwym, stojącym na brzegu. Gdy wreszcie wszystkie dukty są myśliwymi poobsadzane, wtedy dana przestrzeń trzciny bywa przepędzana równolegle do brzegów. Jeśli woda jest płytką, to naganka straszy ptactwo na piechotę, jeśli zaś jest zbyt głęboka, lub bagnista, sadowią się naganiacze w małe łodzie, z których ptactwo płoszą, posuwając się powoli naprzód. Myśliwi strzelają, tak do zrywających się kaczek, jak też i do przepływających duktami. Wyżeł powinien zachowywać się przy swym panu w łódce, lub też na brzegu jaknajspokojniej przez cały czas trwania pędzenia i dopiero po przejściu naganki bywa posyłany do przyaportowania zastrzelonych ptaków. Postrzelone sztuki mogą być odszukiwane dopiero po ukończeniu pędzenia i znajdujemy je zazwyczaj niedaleko miejsca strzału, ukryte po brzegach.

Zanim artykuł niniejszy zakończę, muszę też jeszcze wspomnieć, na jakie niebezpieczeństwo bywa niekiedy narażany nasz wyżeł w czasie polowań na kaczki. Polując na to ptactwo w starych korytach szeroko rozlanych i nieuregulowanych rzek, gdzie w razie wynikłej potrzeby nie jesteśmy niekiedy w stanie zbliżyć się do pływającego psa, wtedy wystrzegajmy się szczególniej takich miejsc, w których znajduje się warstwa pływającego, poplątanego, cienkiego zielska, oraz różnego rodzaju innych pływających na powierzchni wody, drobnych wodorostów, gdy bowiem w takie miejsce spadnie zbarczona kaczka, wtedy trzepnąwszy po wodzie zdrowem swem skrzydłem, nurkuje natychmiast, by ukryć się w pobliżu i to zwykle tak umiejętnie i dobrze, że nawet pies dojrzeć jej nie może. Pies, widząc, gdzie ona spadła, skacze po nią do wody, podpływa do miejsca jej upadku, a nie mogąc jej dostrzec, pływa w kółko i rozgląda się pilnie za nią na wszystkie strony, sądząc, że w tem miejscu być musi, bo tam przecież upadła, a w dodatku i wiatr kaczki, również niekiedy go zalatuje, co energję jego tembardziej pobudza. Zaczyna więc gorliwie pływać w kółko, prawie że w jednem i tem samem miejscu, przyczem zanurza nawet co chwila swą głowę, lecz wszelkie jego trudy są tu daremne, a choć kaczki w żaden sposób nigdzie dostrzec nie może, to jednak szukać nie przestaje i danego miejsca się trzyma, pragnąc koniecznie ją odnaleźć i swemu panu przyaportować. Gdy coś podobnego zauważymy, wtedy należy natychmiast odwołać psa z powrotem, gdyż w takim wypadku grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Pies, pływając w kółko w podobnie zachwaszczonem drobnem zielskiem miejscu, może do tego stopnia poowijać się w cienkie wodorosty, że wreszcie całkowicie nimi oplątany, do reszty osłabnie i utonie, jeśli z przyczyn braku dostępu, nie będziemy mogli pośpieszyć mu z pomocą. Już niejeden dobry wyżeł w ten sposób życie swe zakończył!

Niemniej niebezpieczne jest dla wyżła polowanie na kaczki w miesiącach zimowych, kiedy to na tak zwanych rzecznych oparzeliskach, zamarzających tylko podczas silniejszych mrozów, na kaczki natrafić możemy i gdzie trzymają się one często dla żeru całemi naraz stadami. Gdy mamy sposobność postawić sobie w pobliżu takich miejsc budkę, lub ukryć się za gęściej zarośniętymi brzegami, wtedy dość nawet łatwo ubić tam można grubszym śrutem kilka sztuk na

strzał. Gdy ubite kaczki upadną w płynącą wodę, wtedy bezwarunkowo nie posiłkujmy się psem, w celu ich wydobycia, gdyż tego rodzaju postępek zakrawa na istne barbarzyństwo, łatwo bowiem narazimy naszego psa na niebezpieczne przeziębienie, a co gorsza — na śmierć pod lodem, co już nieraz się zdarzało. Ubite kaczki wpadały w bieżącą wodę; psy wskakiwały za niemi, by je aportować; prąd porywał je z sobą; dopłynąwszy do lodu, daremnie wydostać się nań chciały i porwane pod lód — ginęły na zawsze!

Bywały wprawdzie również i wypadki szczęśliwsze. Jeden naprzykład z myśliwych, ubił pewnego razu zimową porą kaczkę, która po strzale spadła na wodę, niezupełnie zamrzniętej po środku rzeki; pies jego skoczył z lodu w wodę, złapał kaczkę i popłynął w kierunku swego pana, by mu ją oddać. Gdy dopłynął do lodowego brzegu, gdzie z całych sił starał się nań wdrapać, wszelkie jego wysiłki były daremne. Pan jego, zdając sobie sprawę, na jak groźne niebezpieczeństwo jest narażony jego ulubieniec, poskoczył szybko na sam skraj lodu, dał się jednemu z towarzyszy przytrzymać za rękę, drugą zaś ręką sięgnął kolbą broni w stronę psa, sądząc, że za pomocą zwieszającego się od kolby pasa, uda mu się psa zaczepić i dopomóc mu do wydobycia się z toni, co jednak mu się nie powiodło, gdyż zaledwie końcem kolby zdołał psa dosięgnąć. Widząc to pies, wypuścił kaczkę z pyska i chwycił zębami za kolbę, z pomocą czego udało mu się wreszcie, wydobyć szczęśliwie na lód.

Osobliwy również wypadek wydarzył się pewnego razu innemu znowu myśliwemu: Wybrał on się w lutym nad większą rzękę, by zapolować tam na kaczki, gdzie dość liczne stado w jednem miejscu stale przebywało. Udało mu się jedną z nich ubić, lecz wpadła ona w wodę. Pies jego, który dopiero w październiku rok ukończył, skoczył na lód, a następnie ochoczo w wodę, pochwycił kaczkę i podpłynął z nią do brzegu, gdzie starał się z wielkim trudem i wytrwałością wydostać się na lód, lecz w żaden sposób dokonać tego nie mógł. Po kilku daremnych wysiłkach, położył wreszcie aportowaną kaczkę na skraju lodu, a sam popłynął z prądem, aż udało mu się odnaleźć dogodniejsze miejsce do wylądowania. Stanąwszy szczęśliwie na brzegu, otrząsnął się po tak niemiłej kąpieli, podbiegł do miejsca, gdzie poprzednio kaczkę złożył, porwał ją w pysk i wielce uradowany przyniósł ją w wesołych podskokach swemu wystraszonemu panu. Czyn ten spełnił z prostotą, a jednak nadzwyczaj sprytnie!

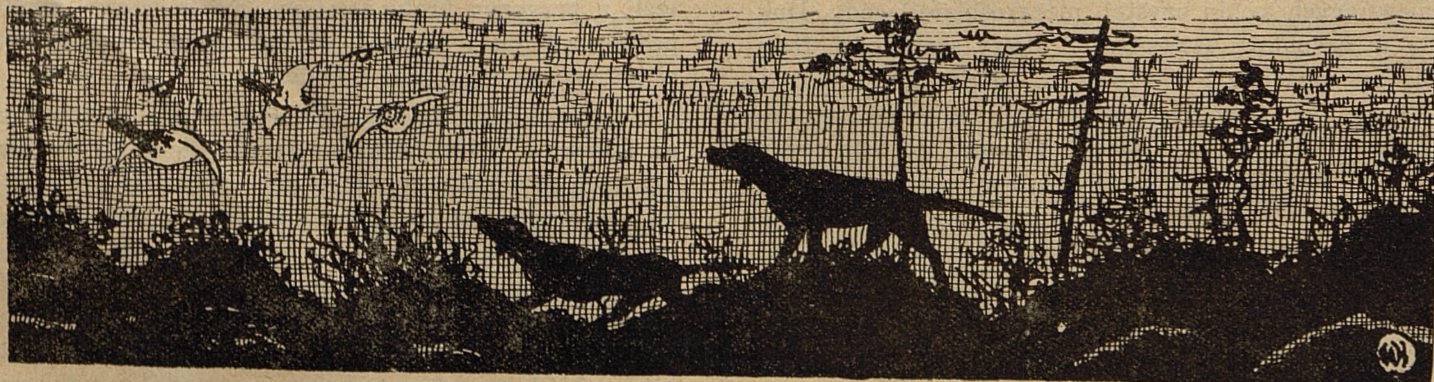
Choć i w takich, wielce niesprzyjających warunkach, udaje się niekiedy myśliwemu zdobyć pożądane trofeum w postaci marnej kaczki, to jednak postąpimy stokroć lepiej, a przedewszystkiem po ludzku, jeśli nie damy naszemu poczciwemu psu sposobności do tak heroicznych czynów, które narazić go mogą na przewlekłą, ciężką chorobę, a co gorsza — śmierć! Cóż bowiem znaczy stracona, marna kaczka, w porównaniu do wiernego nam, a doskonałego i zdrowego wyżła!

Nietylko dla psa, lecz tak samo i dla myśliwego, bywają tego rodzaju zimowe polowania na kaczki bardzo niekiedy niebezpieczne, jeśli nie będzie tu zachowana konieczna ostrożność. Brzegi lodowej powłoki bywają przy takich oparzeliskach zwykle tak cienkie i kruche, że z wielką ostrożnością zbliżać się do nich zawsze należy. Gdy więc zastrzelona kaczka na lód tam padnie, wtedy nie podchodźmy zbyt blisko do płynącej wody, lód bowiem łatwo załamać się może. Mając częściej sposobność do takich polowań, miejmy zawsze pod ręką jaką możliwie jaknajdłuższą, lekką tyczkę lub leszczynowe wędzisko, ażeby z ich pomocą móc pewniej, a przedewszystkiem bezpieczniej, ubitą kaczkę z wody wyłowić, lub ze zbyt cienkiego lodu do siebie przyciągnąć. Do takiej tyczki przywiązujemy dwumetrowy szpagat z przymocowanym na jego końcu, dużym, potrójnym, w kształcie kotwicy, ostrym haczykiem, używanym przez rybaków do łowienia większych ryb, jak szczupaków i sandaczy, na t. z. żywca t. j. na zaczepionego do haczyka kiełbia, lub inną drobną rybkę. Za pomocą takiej prymitywnej wędki, łatwo kaczkę dosięgnąć, stojąc zdala na mocniejszym lodzie. W celu lepszego obciążenia przywiązanego na szpagacie haczyka, przymocowujemy tuż nad nim zwitek ołowiu, a to nam znacznie ułatwi zarzucanie haczyka na leżącą na lodzie, lub porwaną prądem, zastrzeloną kaczkę, a poderwawszy następnie ową wędkę w górę, wbijamy haczyk w ptaka i przyciągamy go ku sobie.

Kto częściej miewa sposobność do podobnych polowań na kaczki, niechaj dla wygody sprawi sobie składane, bambusowe wędzisko, możliwie jaknajdłuższe, które o wiele wygodniej nosić z sobą można. Posiadając tego rodzaju wędkę, można śmiało się obyć bez pomocy psa, który podczas takich wypraw, w domu pozostawać winien.

Turek.

EMIL KARNEY.



POLOWANIE Z AMBONY

(Dokończenie. Zob. Nr. 32).

Jednakże nie zawsze tak bywa, zmienne są bowiem figle prądów powietrznych jak losów koleje. Nieraz bowiem na skutek konfiguracji terenu i zapor, jakie wiatrowi przeciwstawia szata roślinna, wiatr kotłuje a nawet może w różnych wysokościach wytwarzać lokalny kontrwiatr. Różnice wysokościowe mogą być nawet bardzo nieznaczne. Albo mgliste, przepojone wilgocią powietrze, specyficznie cięższe, opada i stłacza ku ziemi odwiatr z ambony, wypierając w górę ogrzewające się stopniowo naskutek odbicia się od ziemi promieni słonecznych powietrze przyziemne. Przypuszczalnie w ten sposób spłoszył mnie się pewnego wieczoru w najniewłaściwszym momencie jeleń, zamierzający opuścić zagajenie w odległości dwóch do trzech kroków od ambony. Jakikolwiek niepożądany ruch z mej strony był absolutnie wykluczony, słysząc bowiem od dłuższego czasu zbliżający się szelest, przygotowałem zawczasu wszystko, co było trzeba.

O zabawnym epizodzie opowiada pewien myśliwy w obcojęzycznej literaturze łowieckiej. Czatując na ambonie, zauważył stado jeleni, zmierzających w jego kierunku. W pewnym momencie łania-przewodnica przystanąwszy, podniosła chrapy, wciągając wiatr. Czując wiatr z góry, podniosła chrapy do maksymalnej wysokości, a gdy jej wysiłki nie przynosiły widocznie pożądanego skutku, podniosła się na zadnie badyle, starając się przy tem jak najwyżej wznieść chrapy. Stanąwszy następnie na ziemi, przetrwała w pozycji tej chwilę, zdradzając całem swem zachowaniem bezradność i brak zdecydowania, by po powtórnem wzniesieniu się oddalić się w szybkiem tempie i pociągnąć za sobą całe stado, które zresztą nie brało najmniejszego udziału w wysiłkach zdefiniowania niebezpieczeństwa.

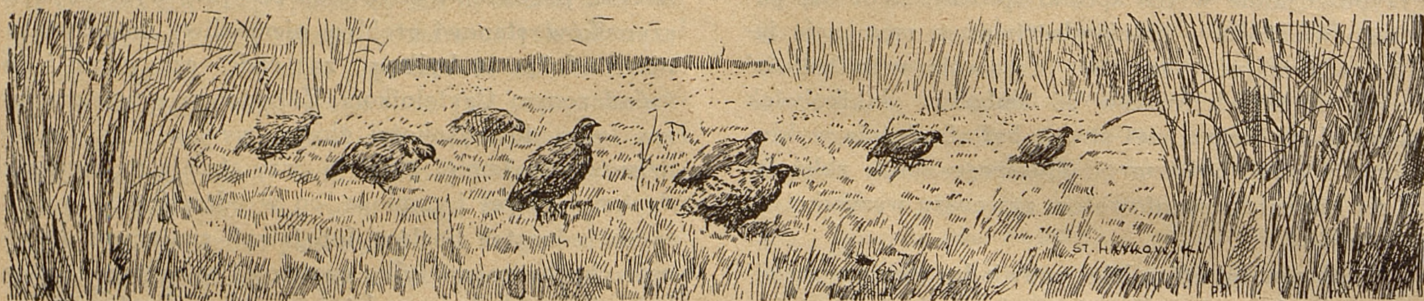
Inaczej i zasadniczo prościej przedstawia się kwestja ukrycia się przed wzrokiem oczekiwanej zwierzyny. Nie trzeba w beztrosce pod tym względem znowuż zaniedbywać wszelkich środków ostrożności, suponując niesłusznie, że zwierzyna w górę wogóle nie widzi. Zasadniczo nie można twierdzić, by sarny, jelenie lub dziki, badając bezpieczeństwo terenu, skierowywały wzrok również w górę; proste przykłady, zaobserwowane w kniei, dowodzą jednakże, iż zwierzyna w górę patrzeć umie. Pomijając okolice górskie, gdzie zwierzyna z natury rzeczy skazana jest na skierowywanie wzroku w górę i na dół, zdarza się w terenach nizinnych, że zwierzyna niejednokrotnie stara się za pomocą wzroku stwierdzić przyczynę szelestów, dochodzących z koron drzew a spowodowanych nagłym przylotem jakiegoś ptaka, zjawieniem się wiewiórki lub t. p. Analogicznie przedstawia się sprawa z ambonami. Dopóki zwierzyna nie usłyszy żadnych podejrzanych dla niej szmerów, spowodowanych przez myśliwego na ambonie, dopóty też zwykle na ambonę nie patrzy — nie biorąc w tym wypadku oczywiście pod uwagę całej wyżej omawianej kwestji wiatru. Z chwilą jednakże, gdy raz zrobi smutne doświadczenie i dozna zawodu ze strony niewinnego na pozór, wielkiego gniazda, nie omieszka przy każdej nadarzającej się okazji dokładnie zlustrować, czy powietrze jest czyste. Należy zatem przy budowie ambony pilnie zważać na to, by siedzący na niej a raczej w niej myśliwy był dostatecznie przed wzrokiem zwierzyny osłoniony, co, zważywszy równoczesną konieczność pozostawienia możliwości swobodnego strzelania na wszystkie strony, nie jest rzeczą łatwą. Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że przy zastosowaniu najprostszych systemów ambon, składających się z czterech słupów, drabiny, kosza i umieszczonej w nim ławeczki, pogodzenie obydwóch powyżej wymienionych czynników stanowi problem niemożliwy do rozwiązania i wdzięczny byłbym za radę szanownym i doświadczonym Czytelnikom. Zabudowanie bowiem kosza tylko do wysokości głowy, wystawia na światło dzienne conajmniej głowę a przy strzale na niewielki dystans nawet i ramiona, co w odniesieniu do starszych jednostek kozłów lub jeleni znających doskonale choćby nawet tylko częściową sylwetkę człowieka — twierdzę to na podstawie niejednokrotnych, osobistych i smutnych doświadczeń — połączone jest z niemałem ryzykiem. Wyższe zabudowanie ambony stwarza coprawda pożądane i w cień usuwające myśliwego tło, utrudnia natomiast z drugiej strony w wielkiej mierze wysunięcie sztucera na odpowiednią stronę, co musi być dokonane bez szelestu i nieraz bardzo szybko. Pozatem poprzeczne czy pionowe listwy lub gałązki, prawie że uniemożliwiają precyzyjny strzał kulowy do biegnącej zwierzyny. Zrozumiałą jest rzeczą, że wiele bardzo zależy od tła ambony. Jeżeli ta ostatnia ma za tło ciemne korony drzew, to oczywiście stwarzanie dodatkowego tła byłoby rzeczą zgoła zbędną. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, gdy tłem ambony jest niebo. W zależności od pory rannej lub wieczornej, może jedna i ta sama ambona być pod względem tła w zgoła odmiennych warunkach. Np. w wyżej zilustrowanem umieszczeniu ambony widzi zwierzyna, wieczorem wychodząca z zagajenia, myśliwego na tle ciemnego starodrzewia, rano natomiast wracając ze starodrzewia do zagajenia, na tle zorzystego nieba nad zagajeniem. W ostatnio zilustrowanych okolicznościach, konieczne jest oczywiście, nawet dosyć szczelne tło, maskujące sylwetkę myśliwego.

Dla uwypuklenia zgubnych skutków zaniedbania nieodzownych pod tym względem środków ostrożności, niechaj posłużą dwa poniższe, z praktyki wyjęte przykłady: jeleń wychodzi wieczorem z zagajenia dziwnym zbiegiem okoliczności spogląda na ambonę, w której siedziałem skulony, nie wystając ponad kosz; stoi długo wreszcie okrąża ambonę z trzech stron, by wreszcie niespłoszony się oddalić. Inny przykład: nie mając w pewnem miejscu żadnej ambony, a doszedłszy do przekonania, że w miejscu tem jest nieodzowna, poleciłem — chcąc, wobec spóźnionego okresu, sprawę jak najciszej załatwić — postawić w miejscu normalnej ambony jedynie dosyć wysoką drabinę z prymitywnem siedzeniem i oparciem. Po

kilku dniach zasiadłem na niej rano bez żadnej osłony. Po pewnym czasie usłyszałem za sobą charakterystyczny chód jelenia. Zdając sobie dopiero w tym momencie dokładnie sprawę z paradoksalnej mej sytuacji na tle wschodzącego słońca, nie odważyłem się ani jednym ruchem przygotować sztucer do strzału. Nagle błyskawicznymi susami podskakuje jeleń — bardzo dobry, regularny dwunastak o długich, śnieżno białych odnogach — na sam brzeg zagajenia, przystaje na ułamek sekundy, odwraca głowę i przychyla wspaniałe wieńce, ocząc ku mnie, siedzącemu na stromej drabinie i przerażonemu niebywałą szybkością następujących po sobie wypadków — by w tym samym momencie w równie szalonych skokach cofnąć się do starodrzewia. Nieszczęścia zwykle chodzą w parze, to też na domiar złego musiał ów jeleń wyskoczyć z mej prawej strony, co już zupełnie wykluczyło szybkość złożenia się na tak niewygodnem wyniesieniu. Nawiasem mówiąc, jeleń ów okrężną drogą w znacznem odemnie oddaleniu powrócił do zagajenia. Wieczorem, zajmując inne stanowisko, słyszałem już tylko wspaniałą symfonję metalicznych stuków jego wieńców; pomimo jaknajdalej posuniętej wytrwałości już go jednakże oko moje, tak spragnione jego widoku, więcej nie oglądało.

Rydzyna.

INŻ. WIESŁAW SZCZERBIŃSKI.



Z POWIATU SZCZUCZYŃSKIEGO WOJ. BIAŁOSTOCKIEGO.

Sezon zimowy i wiosenny skończony. Nastała cisza w łowiskach tak potrzebna dla rozmnoży zwierzyny i okres wdzięcznej pracy dla myśliwych hodowców, rozwijających teraz największą czynność nad ochroną swych rewirów przed wszelkimi szkodnikami — niestety, tych właśnie myśliwych - hodowców u nas znikomy procent. Znaczna większość to zawodowi handlarze mięsem, lub myśliwi, którzy w obecnych warunkach życia na partykularzu wyrastają jak grzyby po deszczu, ze zmianą zaś tych warunków znika u nich i ten okolicznościowy zapał myśliwski, raczej strzelecki. Dużo robią wprawdzie w łowiskach huku i wrzawy, ale w zwierzostanie zbyt wielkich luk nie czynią, natomiast o zwierzynę w swoich obwodach po skończonym sezonie nie dbają wiele; skala ich zainteresowań w tym kierunku nie sięga poza pełne troki lub wypchaną zdobyczą siatkę. Jeszcze inna grupa tych ulegalizowanych w karty łowieckie nemrodów, to także sui generis zawodowcy, grasują po obcych łowiskach i z kundelkami pomykują bezkarnie przez cały sezon.

W tych więc warunkach niema mowy o jakiemś podniesieniu zwierzostanu i, aczkolwiek policja miejscowa, zwłaszcza niektóre posterunki, jak w gminie rudzkiej, pruskiej, radziłłowskiej, grabowskiej i w Grajewie wykazują dużo energji w tępieniu kłusownictwa i mają za sobą poważne już rezultaty swych wysiłków (w r. ubiegłym odebrano około 200 sztuk broni), to zawdzięczać należy jedynie powiatowemu komendantowi policji p. Józefowi Zalewskiemu, gorliwemu rzecznikowi sprawy łowieckiej w naszym powiecie. Mimo to dla należytego uporządkowania stosunków łowieckich u nas należałoby przeprowadzić przy pomocy fachowych czynników, dotąd stale zapoznawanych, lub przez powołaną ad hoc komisję łowiecką, — ścisłą selekcję wśród ubiegających się o karty łowieckie, a odpadłaby przez to jedna z głównych bolączek.

W myśl art. 45 .Ustawy łowieckiej istnieje zakaz polowania z gończymi w obwodach mniejszych od 2000 ha. Przekroczenia w tym kierunku są u nas na porządku dziennym. Z otwarciem sezonu wszędzie spotkać można w polu kundelki udające gończe, lub kundlowyżły, przy swoich właścicielach, pomykujących bez wytchnienia od świtu do nocy, a na zwracaną im uwagę, że przekraczają ustawę łowiecką, odpowiadają z właściwym sobie tupetem, że ten piesek idzie tylko za farbą, za postrzałkiem, drugi znów twierdzi, że służy mu jedynie do aportowania i że do rasy gończych nie należy. Przeto spodziewanych dobrodziejstw ustawy łowieckiej w tym kierunku jakoś w powiecie trudno zauważyć.

Zwierzostan u nas na ogół słaby — na polowaniach zimowych w 8 lub 10 fuzyj pada przeciętnie 1 zając na fuzję, lis zdarza się już bardzo rzadko, wyniszczony prawie zupełnie trutkami, kozioł dostępny jedynie dla kłusowników sąsiadujących z lasami państwowymi. Prawdziwemi na tem pustkowiu oazami zwierzyny, to w pierwszej linji majątek Ławsk p. Bogdana Mościckiego, majątek Czernówek p. Obryckich, uroczysko

Grzędy i Żebry lasów państwowych — jest to jedynie zasługa hodowców tembardziej godna uznania, że tę pracę swoją prowadzą w nader trudnych warunkach lokalnych. Pomijając te charakterystyczne dla stosunków w powiecie polowania, o których wyżej wspomniałem, podam dla porównania wyniki polowań z terenów, gdzie stwierdzić można było w danem łowisku skutki wytężonej pracy hodowlanej ich gospodarzy. I tak d. 7. I. b. r. odbyło się polowanie w majątku Ławsku p. B. Mościckiego w 16 fuzyj. Polowano 132, najwięcej po 15 szt. zdobyli: p. Wójcicki Obrycterenach włościańskich. Kotów na rozkładzie było 132; najwięcej, po 15 szt. zdobyli: pp. Wójcicki, Obrycki i gospodarz p. B. Mościcki. Przy mniejszej ilości pudeł można było jak na nasze stosunki, dosięgnąć cyfry rekordowej 200 kotów, a przecież między branymi kotłami pozostawiono sporo przestrzeni nieopolowanej.

Polowanie w Ławsku było wymownym sprawdzianem racjonalnej hodowli i opieki nad zwierzostanem— piękna zaś i wzorowa organizacja polowania, prowadzonego przez samego gospodarza przy pomocy nadl. p. Krauzego pozostawiła po sobie bardzo miłe i wdzięczne wspomnienie.—Nieustępujące w organizacji i przeprowadzeniu było drugie polowanie w d. 12.I b. r. w uroczysku Żebry. Tu na 12 strzelb padły 32 koty przy niezliczonej ilości pudeł. Polowanie prowadził po mistrzowsku leśniczy lasów państwowych p. Trzebiński. Pokazał on zebranym, że przy należytem wyzyskaniu znajomości terenu i zwierzostanu nie trzeba tłumu naganki, by zaprezentować rezultaty swej pracy hodowlanej. Zwierzostan w tem uroczysku wraca pod sprężystą ręką właściwego opiekuna do dawnego, świetnego stanu. Niech św. Hubert sekunduje mu dalej, w jego zbożnem dziele.

Z wiosennego sezonu zanotować należy duży nalot bataljonów, widzianych w tym roku poza Biebrzą, nad rz. Ełkiem i w różnych punktach powiatu na większych obszarach bagnistych łąk, czego nigdy przedtem nie zauważono. Toki cietrzewie i ciągi słonek z powodu niestałej pogody i niskiej temperatury były słabe, natomiast na brak kaczorów nie uskarżano się.

Kończąc to sprawozdanie, trudno nie wspomnieć o naszych łosiach (8 sztuk) z Czerwonego Bagna. Groźna do niedawna sytuacja znacznie się poprawiła, dzięki zainteresowaniu się tą sprawą Dyrekcji lasów państwowych i T-wa Ochrony Zabytków Przyrody. Czerwone Bagno jest dziś rezerwatem, a nadl. p. Borkiewicz otacza tych ostatnich z Mohikanów energiczną opieką,—zapewnił im bezwzględną ciszę w ich ostoi, a czujną ochronę po za nią. Byłoby jednak nader wskazanem wydzierżawienie lub wykupno nawet kniei majątku Ciszewo, dokąd wszystkie łosie wędrują na lato i gdzie czyha na nie kłusownik (2 lata temu zabito tam klępę z cielęciem). O ile wiem, p. Borkiewicz i w tym kierunku rozwinął już pewną akcję i miejmy nadzieję, że swoim łosiom nie da zaginąć. Nabycie uroczyska Ciszewo zabezpieczy na stałe byt i rozwój tej królewskiej zwierzyny. Tu już otwiera się do działania wdzięczne pole dla T-wa Ochrony zabytków przyrody.

Grajewo 8.VI 1931 r.

M. P.

O HODOWLĘ CIETRZEWI.

Przeczytawszy na stronie 380-tej ,,Łowca Polskiego" Nr. 19/931 artykuł pod powyższym tytułem, podnoszę dalej tę sprawę, gdyż uważam za jeden z największych uroków, jakie przyroda daje myśliwemu, polowanie na cietrzewie, a niestety, stan posiadania w tej zwierzynie skurczył się u nas niepokojąco po wojnie.

Jeszcze więcej dający do myślenia w tym kierunku jest faktyczny, stały ubytek jego ulubionych terenów t. j. wielkich przestrzeni półpustynnych, raczej podmokłych, o minimalnej kulturze łąkowej i drzewnej, najlepiej brzóz — takich chłopskich łazów poprostu. Musimy przyznać, że o ile taki udały w swym majowym wdzięku, sui modo angielski park, w swym corocznie nowym dla nas, dziewiczym uroku wiosny — daje najpiękniejsze tło do myśliwskich podchodów, — stanowi on jednak najekstensywniejszą formę kultury rolno - leśnej i jako taki, w kraju dążącym do intensyfikacji gospodarczej, musi zanikać.

Więc znikają podstawy dla naszych dzikich cietrzewi — niestety!

W swej zawodowej włóczędze leśnika, osiadłem przejściowo także w Grobli, dębowej części t. zw. ,,Puszczy Niepołomskiej" koło Krakowa. Wśród rozmaicie zagęstwionych drzewostanów dębowych, bardzo liczne, piękne łąki, wszystko w pobliżu i nieraz nawadniane z Wisły — to owe rewiry Grobli. Jakkolwiek wojna światowa minimalnie zaciężyła nad nią, jednak odtąd znikły z jej pięknych uroczysk cietrzewie. Ponieważ w wiklach nadwiślańskich zaaklimatyzowały się tam doskonale, dolatując przez rzekę z dawnej Kongresówki, bażanty i odtąd gnieżdżą się i mnożą na dziko, przy odpowiedniej, hodowlanej opiece, zatem postanowiłem zrobić próbę wprowadzenia z powrotem cietrzewi przez we właściwej porze zręczne podkładanie ich jaj w dzikie gniazda bażancie.

Niestety, nie mogłem dostać dobrych jaj cietrzewich, a wkrótce wróciłem w Karpaty.

Proszę jednak panów hodowców, których stać na odpowiednie warunki terenowe i hodowlane, o zrobienie poważnych doświadczeń w powyższym kierunku!

Dr. W. B.

Perehińsko.

BOBRY W CENTRUM MIASTA

Jedyne to miasto w Polsce — a jest niem Grodno — w którem jakby naprzekór twierdzeniom o bojaźliwości bobrów, żyją te nieliczne dziś zwierzęta w samem centrum, gdzie bez przerwy panuje ruch i gwar: w porcie „Żeglugi Wodnej".

Profesor miejscowego gimnazjum, znany przyrodnik i kierownik zwierzyńca w Grodnie, inż. Jan Kochanowski dowiedział się przed kilku laty od ucznia swojego, że koło portu na Niemnie pokazują się jakieś zwierzęta, które wybornie pływają, trzymając często w zębach spory kawał drzewa. Wiadomość taka musi zelektryzować każdego przyrodnika. Wybrał się więc inż. Kochanowski do portu i tu w najbliższej okolicy Niemna t. j. na wale, który oddziela port od rzeki właściwej — znalazł wiele pociętej wierzby i topoli. Był to nieomylny znak bytności bobrów i ich pracy, bowiem po kilkudniowem wysiadywaniu na wale ujrzał inż. Kochanowski trzy sztuki — innego razu aż sześć sztuk bobrów. Będąc ubiegłego lata na tem miejscu, miałem również szczęście zobaczenia przed wieczorem, jednego z tych gryzoni, siedzącego na brzegu z podwiniętym pod siebie ogonem i zajętego rozkosznie ogryzaniem wierzbowej gałązki. Przepiękny to był i uroczy widok, któremu ukryty przypatrywałem się długo, aż ciemność zapadła i zatarła sympatyczny, niecodzienny obraz na zawsze...

Z chwilą odkrycia tych bobrów w centrum miasta, zaopiekowało się nimi miejscowe Towarzystwo Miłośników Przyrody, postanawiając je wyłapać i przenieść do zwierzyńca na t. zw. „Treku" i tu założyć wzorową hodowlę tego rzadkiego zwierzęcia Postanowienie to bardzo ważkie, a tem więcej, że w pobliżu portu rozsiadły się liczne domki rodzin rybackich, wśród których nie brak ludzi czyhających na bobry.

W obecnym roku okazało się dowodnie, że obawy Towarzystwa Miłośników Przyrody były uzasadnione. Oto dnia 30 kwietnia naczelnik rządowego portu Żeglugi Wodnej doniósł inż. Kochanowskiemu, że znaleziono tego samego dnia rano w samym porcie, nieżywego, czarnego bobra, który po odepchnięciu od brzegu portu, ciężarowego statku, wypłynął na powierzchnię wody. Nieżywego biedaka zabrano do Muzeum Przyrodniczego, gdzie zrobiono szczegółowe pomiary, poczem przystąpiono do ściągania skóry. Podczas tej czynności zauważono, że bóbr miał potłuczoną przednią nogę oraz dokoła klatki piersiowej, tuż za przednią parą nóg, wyraźny ślad od ucisku i tarcia pętli drucianej, która w tem miejscu podczas śmiertelnej walki bobra ze zbrodniczem narzędziem kłusowniczem, zdarła zupełnie sierść, odkrywając wąziutki pasek nagiej skóry.

Okaz tego bobra został wypchany i już jest ozdobą miejscowego Muzeum Przyrodniczego.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Z TOWARZYSTWA ŁOWIECK. ZIEM WSCHODNICH

Zarząd Towarzystwa Ziem Wschodnich wystąpił do wojewodów: białostockiego, nowogródzkiego i poleskiego o wydanie zarządzeń mających na celu popieranie poczynań Towarzystwa przez władze miejscowe.

Pozatem postanowił wystąpić do województwa Wileńskiego o rozszerzenie czasów ochrony na rysie i lisy od 15 marca do 31 października; na zające od 1 lutego do 31 października; na kaczki od 1 grudnia do 20 lipca i na kaczory od 1 czerwca do 20 lipca.

Wniosek wprowadzenia całkowitej ochrony kuropatw upadł.

Tow. wydało jako nagrody za walkę z kłusownictwem: 75 zł. gajowemu Wąsowiczowi, oraz policjantom pow. Brasławskiego: 40 zł. Wład. Rusakowi: 30 zł. Tom. Mełce; po 25 zł. Józ. Cieślakowi i Winc. Kapełczanowi; po 20 zł. Julj. Karłowiczowi i Józ. Hybszowi; z pow. Mołodeckiego: 30 zł. Jan. Szczawińskiemu, 25 zł. Ad. Szabińskiemu i po 20 zł. Tom. Kasprzykowi, Franc. Lubowiczowi i Franc. Krasonowi.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Dnia 22 lipca r. b. zmarł ś. p. Henryk Mikolasch. Urodzony w r. 1873 we Lwowie, tam kształcił swe wielostronne zdolności początkowo, tam zabłysł na kilku polach jako pierwszorzędny sportsman, tam ukończył swe uniwersyteckie studja doktoratem chemji. Natomiast akwarelę studjował w akademji sztuk pięknych w Krakowie pod największym jej mistrzem, ś. p. prof. Stanisławskim.

Dopiero jednak zetknąwszy się z Karpatami, wyczuł Mikolasch właściwe swe powołanie wielkiego artysty-miłośnika przyrody i odtąd tylko sztuce się poświęcił, ofiarowując jej swój nieporównany talent w akwareli i fotografji. W setki liczyć by trzeba dzieła Mikolascha utrwalające najpiękniejsze fragmenty Karpat i ich faunę — rozebrane przez wielbicieli Jego subtelnego wyczucia i oddania tematów z przyrody.

W dziale fotograficznym, w którym umiał w tak wysokim stopniu połączyć swój zmysł artystyczny z ostatnim wyrazem techniki, że na światowych wystawach zdobył najwyższe odznaczenia; w ostatnich latach, powołany przez lwowską politechnikę, pracował, kształcąc młodzież przedewszystkiem z wydziału architektury, w sztuce fotografji artystycznej, dokumentarnej i fotogrametrji.

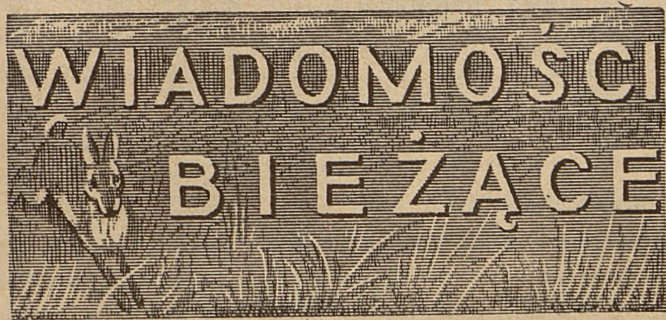
Z działu przyrody pozostawia po sobie, między innemi, unikatowe album zdjęć z natury naszej fauny, przeważnie ptasiej — owoc wieloletniej pracy.

Nie mogę zakończyć tego krótkiego upamiętnienia znikającej z pomiędzy nas wybitnej postaci artysty-przyrodnika, jak stwierdzeniem, że Karpaty nie prędko znajdą godnego Jego następcę, a przyjaciele — nigdy!

Dr. W. B.

Ś. p. **Mirosław Ostoja - Gajewski**, artysta-malarz dziennikarz i literat, przeżywszy lat 56, zmarł nagle w Warszawie. Zmarły drukował w „Łowcu Polskim" niektóre swe prace myśliwskie. W tece redakcyjnej mamy jeszcze parę jego prac, które niezadługo zamieścimy.

Cześć Jego pamięci!



— **Odczyt przez radjo.** — Dnia 16-go bieżącego miesiąca, w niedzielę, o godzinie 14 m. 10 wygłosi przed mikrofonem radjostacji warszawskiej prof. Roszkowski odczyt p. t.: „Nasze ptaki w Egipcie".

— **O zakaz wywozu psów.** — Tow. Łow. Ziem Wschodnich wystąpiło do województwa Wileńskiego o zniesienie zakazu wywozu psów myśliwskich z miejscowości podejrzanych o wściekliznę w tem województwie. Przeciw temu bowiem protestują myśliwi, dowodząc, że wśród psów myśliwskich wypadki wścieklizny są rzadkie, a tembardziej niemożliwe jest, aby właściciele tych psów przewozili je koleją w stanie ostrym lub chociaż podejrzanym o tę chorobę.

— **Z ogrodów zoologicznych.** — Ze zwierzyńca warszawskiego godny jest zanotowania fakt wyklucia się 6 papużek brazylijskich, które naogół w naszym klimacie nie mnożą się. Dla eksperymentu, papużki te w ciągu zimy pozostawały na świeżem powietrzu. Pisklęta, które w pierwszych dniach swego życia były zupełnie gołe, mają już obecnie efektowne opierzenie. Papużki znajdują się w wielkiej klatce w pobliżu pomieszczeń dla niedźwiedzi.

W poznańskim zwierzyńcu w osobnem urządzeniu produkowało się 11 tresowanych, białych niedźwiedzi. Niedźwiedzie te, w młodości wytresowane, pokazują swe akrobatyczne sztuki już kilka lat, zawsze pod kierownictwem ich nauczycieli i pogromcy. Niezgrabne, białe misie zasiadają na swych stołkach i ustawiają się w rozmaite grupy, huśtają się lub ślizgają po desce lub piją mleko z butelek.

Berliński ogród zoologiczny wprowadził nowość: część zwierząt łagodnych puścił luzem pomiędzy publiczność. Młody słoń naprz. chodzi swobodnie pomiędzy gośćmi ogrodu.

— **Zjadanie łajna przez psy.** — Prof. dr. Hesse z Berlina zajął się zbadaniem sprawy tej, że pies choćby najlepiej i najobficiej karmiony, lubuje się w pożeraniu wszelkich nieczystości. Faktu tego nie należy przypisywać złemu smakowi psów, lecz zgoła innemu zjawisku. Dr. H. stwierdził, iż, o ile alkaloidy pozostające przy rozkładaniu się roślinnego lub zwierzęcego białka, są szkodliwe dla człowieka, to natura psia wymaga właśnie tych substancyj, które znajdują się w różnych odpadkach. Nie znaczy to jednak, byśmy nie mieli powstrzymać psów przed zwyczajem spożywania nieczystości. Obok alkaloidów zawierają nieczystości zarazki gruźlicze. Jest dowiedzione, iż ok. 13 proc. psów i 11 proc. kotów jest zarażonych gruźlicą. Stwierdzono również, iż łatwo od psów zarazić się zarodkami robaków, tak zw. bąblowca oraz wieloma innemi chorobami.

— **Wichura a bociany.** — W czasie niezwykłej wichury, która szalała niedawno w okolicy Lublina, ofiarą padły prawie wszystkie gniazda bocianie. Burza zmiotła je w jednej chwili niemal doszczętnie. Bociany zaskoczone tą ruiną, ulokowały się na strzechach chat pobliskich.

— **Archiwum trofeów.** — Przy Państwowym Związku Łowieckim w Niemczech powstaje archiwum, w którem koncentrować się będą opisy i fotografje wszelkich trofeów nagrodzonych na wystawach łowieckich w Niemczech.

— **Konfiskata zepsutej dziczyzny.** Pruskie ministerjum rolnictwa wydało okólnik, w którym zwraca uwagę, że władze weterynaryjne w Berlinie skonfiskowały w roku zeszłym 11,617 kg. dziczyzny, która uległa zepsuciu w czasie transportu przesyłkowego. Przyczyną zaśmierdzenia była w przeważnej ilości wypadków, nieumiejętność myśliwych, którzy po zabiciu zwierzyny nie umieli się z nią obchodzić pod względem konserwacji. Przeważnie źle postępują, nie dając zwierzynie należycie ostygnąć, dalej źle się ją opakowuje i wypycha wnętrzności wilgotną trawą, choć wilgoć przyśpiesza psucie. Na sprawę tę zwrócił też uwagę swych członków Pruski Związek Łowiecki, dodając, że z tem się łączy także niewłaściwe strzelanie zwierzyny z nadmiernej odległości.

— **O przeszłości jamnika.** — Dr. Maks Hilzheimer zwalcza w czasopiśmie „Zeitschrift fuer Hundeforschung" twierdzenie, że protoplasty obecnego jamnika szukać należy w starożytnym Egipcie. Natomiast autor twierdzi, że za czasów panowania Rzymu nad światem, część rzymian osiadłych na ziemiach niemieckich, wyhodowała tutaj tę czysto niemiecką rasę. Twierdzenie to opiera na badaniach szkieletów z owych czasów, gdy niemal w każdem osiedlu rzymsko- germańskiem znaleziono pozostałości szkieletów jamników. Twierdzenie to popierają także inni badacze.

— **Z jamy borsuczej.** — Czasopismo „Die Teckelwelt", poświęcone hodowli jamników, zajmuje się kwestją, czem borsuk wyściela swą jamę na zimę. Zazwyczaj w jamie znajduje się sucha trawa leśna, liście i mech, ale często jest także wyschnięty nawóz, którego późną jesienią mnóstwo jest na polach. Wogóle borsuk zbiera tylko takie materjały, które są złymi przewodnikami ciepła. W jednej norze znale-

ziono większą ilość kłaków, w drugiej — wełnę owczą. Niedaleko tej nory leżała zdechła owca, z której zostały tylko kości. Wełnę z niej borsuk zabrał do wyściełania nory. W pewnej okolicy bagnistej stwierdzono, że borsuk brał podściółkę z brogu siana.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Handel dziczyzną.** — Z powodu narzekań myśliwych w Niemczech na spadek cen dziczyzny, Państwowy Związek Łowiecki w Niemczech rozpoczął badanie tej sprawy wespół ze specjalną komisją do notowania cen dziczyzny. Stwierdzono, że podaż dziczyzny zwiększyła się znacznie wskutek polepszenia się zwierzostanów, a tem samem, — wyników ilościowych polowań. Jednocześnie zmniejszył się popyt, z powodu ogólnej depresji ekonomicznej. Myśliwi niemieccy narzekają pozatem, że za dużo dziczyzny przywozi się do Niemiec z zagranicy, i domagają się zamknięcia granicy dla tej dziczyzny przez czas jakiś, oraz podwyższenia taryfy celnej.

— **Wywóz żywej zwierzyny.** — Zapotrzebowanie na zwierzynę żywą jest głównie we Włoszech, Francji i Anglji, gdzie żądają przeważnie bażantów, kuropatw i zajęcy dla celów hodowlanych, gdyż zwierzostan tych krajów wyczerpał się niemal doszczętnie w tym zakresie. Zapotrzebowanie samych tylko Włoch na te trzy rodzaje zwierzyny wynosi od 2,5 do 3 mil. zł. rocznie. Wywóz zwierzyny żywej jest znacznie korzystniejszy od wywozu zwierzyny bitej, który sięga jednakże kilkuset tysięcy zł. rocznie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— **Zapytanie.** — Na wydzierżawionym przezemnie obwodzie łowieckim wspólnym o obszarze 1850 ha, znajduje się pośrodku terenu jeziora, przestrzeni około 70 ha.

Jezioro to należało dawniej do włościan danej wioski, i według ich twierdzeń, zostało im przez b. rząd rosyjski skonfiskowane za uchylenie się od przejścia na prawosławie. Jezioro jest włączone w ogólny obszar wsi.

Obecnie jezioro to jest w posiadaniu Państwa, zaś włościanie korzystają jedynie z prawa dostępu w celach wodopoju bydła.

Czy prawo polowania na tym jeziorze należy bezwzględnie do mnie, jako dzierżawcy danego obwodu łowieckiego wspólnego, oraz czy mogę w tym celu utrzymywać na jeziorze własne łodzie?

JAN JAROSŁAWSKI.

Odpowiedź.

Jezioro jako posiadające tylko 70 ha obszaru, nie może stanowić własnego obwodu łowieckiego po myśli art. 6 prawa łowieckiego, a winno być włączone do obwodu wspólnego, z którym stanowi naturalną całość. Jeśli istotnie jezioro włączone zostało do obszaru wsi i z gruntów tej wsi utworzono łącznie z jeziorem obwód łowiecki wspólny, którego Pan jest dzierżawcą, to nikt Panu wstrętów przy wykonywaniu polowania na jeziorze czynić nie może.

Oczywiście może Pan w tym wypadku utrzymywać na jeziorze łodzie.

W. W. G.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł.
Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5 1/2 do 6 1/2 wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego", dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia (ewentualnie nazwę miejscowości) oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100.—, II-gą zł. 50.—, III-cią i IV-tą nagrodę — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego" i V-tą nagrodę ½ roczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"

Konkurent wilka.

Po porwaniu owcy przez wilka.

— Widzisz, Stasiu, gdyby ta owieczka była posłuszna pasterzowi i nie oddaliła się od trzody, nie byłaby pożarta. Czy nieprawda?

— Nie, proszę mamusi, bo wtedy my byśmy ją pożarli.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić..

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Mądry pies.

— Nie macie państwo pojęcia, jaki to mądry pies, ten mój. Zabrałem go do gospody i zapomniałem powiedzieć, żeby mu dali coś do zjedzenia. Po chwili czekania pies przybiega i przynosi mi... wiecie państwo co? — spis potraw!

Bocian dostawcą „Dworu".

— Mamusiu, — pyta mała, — powiedz mi, czy bociany, które przynoszą małych książąt i księżniczki — są dostawcami dworu?

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.